

ZA CENĘ ŻYCIA.

— Zadługo czekałaś, moja droga Marcelko. Skoroś się spostrzegła, że ten młody człowiek zbyt natarczywie asystuje ci, powinnaś była powiadomić o tem pana de Villeneuve.

— Wahałam się. Mój mąż ma tyle kłopotów ze swemi interesami, iż nie chciałam niepokoić go tą historią. Byłam przekonana zresztą, że chłopiec ten z mego milczenia, z mego zachowania zrozumie bezcelowość swych zabiegów.

— W Grenoble mieszka?
— Tak. Ojciec jego, pan Paluvier jest architektem.

— Paluvier? Młody Paluvier? Patrzenie państwo!

— Znasz go?
— Ja myślę! Zapalona głowa!...
— Nie utrzymywaliśmy nigdy stosunków z tą rodziną i nie rozumiem jakim sposobem Paluvier mógł się tak zakochać we mnie...

— No, no! Moja droga! Jesteś młoda, ładna... Możesz zawrócić głowę niejednemu dwudziestoletniemu mężczyźnie! Ale jesteś mężatką...

— I kocham mego męża. Masz rację. Dziś wieczorem jeszcze zwierzę się Karolowi z moim kłopotem.

Słońce cofało powoli swe skrzydła promienne za wzgórze. Kłęby różanych obłoczków, odbite, płynęły po Izerze, toczącej swoje wody u stóp zamku de Lambezac, dokąd Marcelina de Villeneuve przybyła w odwiedziny do swej przyjaciółki lat dziecimnych Colette Dujardin. Gawędziły, nie zwracając uwagi na godzinę. Cienie nocy, osnuwające długim błękitnym welonem weneckie okno salonu, przypomniły Marcelce, że pora wracać do Grenoble.

Po ostatnim uścisku na stopniach ganku Marcelina wsiadła szybko do swego auta, zapaliła reflektory i ruszyła z miejsca. Okrążywszy wysypną żwirem aleję parkową, wyjechała z bram zamku na tonącą w ciemnościach szosę.

Zaledwie przebyła około dziesięciu kilometrów, gdy ujrzała w świetlnych smugach reflektorów sylwetkę męską, stojącą wśród pustej drogi. Zwolniła tempa i zmuszoną była zatrzymać auto, aby nie przejechać mężczyzny, który stał w nieruchomej postawie z rękoma wzniesionymi do góry, jak gdyby błagając o pomoc.

Zaintrygowana, Marcelina opuściła szybę. Osobnik wykorzystał chwilę, aby wskoczyć na stopień, otworzyć drzwiczki i uisnąć obok niej.

— Czego pan sobie życzy? — zawołała wylekła, z bijącym sercem, mierząc oczyma mężczyznę, którego górna część twarzy zakryta była maską z czarnego jedwabiu.

— Jeżeli umie kierować autem, zginełam! — myślała, puszczając samochód w ruch. — Okolice pusta!... Żadnego osiedla w pobliżu!... Żadnej możliwości ratunku!...

— Proszę skrócić na lewo — odezwał się nieznanym przytłumionym głosem.

— Ależ... — rzekła Marcelina — ja jadę do Grenoble.

— A ja każę jechać na lewo! — odparł tonem pełnym groźby.

— Czegóż pan chce ode mnie?
Nieznajomy nie dał odpowiedzi. Auto dobiegało rozstajnych dróg; trzeba było zdecydować na ten czy inny kierunek.

— Na lewo! — ryknął mężczyzna — bo cię zabiję!

I młoda kobieta uczuła zimno lufy rewolwerowej na swej skroni.

Wziąć na lewo znaczyło jechać w stronę przeciwną od Grenoble, w okolice dzika, porosłą jedliną, najeżoną przepaściami. Błada, z oczyma utkwionymi nieruchomo przed siebie, rękoma zaciśniętymi na kierownicy, owładnięta trwogą i instynktem samozachowawczym, Marcelina skrzyła na lewo i auto potoczyło się dalej w ciemną czeluść nocy. Tysiące myśli opadło nieszczęsną kobietę, kłębiąc się w mózgu opętańczym wirami. Zdawało się Marcelinie, że poznaje głos napastnika. W każdym bądź razie zdawała sobie jasno sprawę czego chce od niej. To też puściła wodze swej maszynie, pokładając nadzieję w napotkaniu wsi, domu, przechodnia, by móc stanąć wówczas i wezwać ratunku. Auto tymczasem gnało w zawrotnym tempie. Wilgotny oddech parowów osiadł na przedniej szybie, a smugi światła reflektorów padały na samotną i milczącą drogę.

— Stać! — krzyknął nagle zamaskowany mężczyzna.

Ale Marcelina pędziła dalej, wspinając się na wzgórze, zjeżdżając z pochyłości, jak gdyby nie była już panią kierownicy.

— Stać!
Czy napastnik przeczuwał zgubę? Czy stanął u zamierzonego celu? Czy trwoga owładnęła i nim z kolei?

Marcelina natomiast, dysząca chłosem, wzgarda, silna niewzruszoną wolą wobec grozy swego położenia, odparła wyłośle:

— Nie. Nie stanę. Wiem, czego się mam spodziewać od pana. Odgaduję nawet ktoś jest, nędzniku! Za cenę mego życia nie poddam ci się i twoje życie mam w ręku!... Nie...

Urwała nagle, gdyż nieznanomy zrzućszy maskę, chwycił ją za ramię. Z okrzykiem przerażenia odjęła rękę od kierownicy.

* * *

Pan de Villeneuve z rosnącym niepokojem czekał na żonę. Wieczór kamieniem ciążył mu na sercu. Uważał, że Marcelka zbyt długo bawi w zamku de Lambezac u

przyjaciół swych Dujarden. Godzina obiadu minęła. Pan de Villeneuve błądził po mieszkaniu, jak pokutująca dusza, oddany na pastwę złych przeczuć. Służba spoglądała na zegar z niemią trwogą w oczach. Dziewięć godzin wybiła.

— Coś się stało napewno: opona pękła, albo... jakiś wypadek... — szepnęła pan de Villeneuve do siebie. Nie będąc w stanie czekać dłużej, wskoczył do swego służbowego auta i udał się w stronę Lambezac, badając rowy i brzegi szosy po drodze...

Nic!
Żadnych poszlak!
Żadnego wehikułu!
Ani jednego przechodnia, u którego by mógł zasięgnąć języka.

Jego zjawienie się w Lambezac o tej porze; błada, pełna niepokoju twarz dały państwu Dujardin do zrozumienia, że nieszczęście się stało.

— Marcelka?... było pierwsze słowo, wymówione przez pana de Villeneuve za przybyciem do zamku.

— Od dwóch godzin już wyjechała od nas! — odparła Colette trwożnie.

Wówczas, niezwłocznie zabrano się do przeszukania drogi, śledząc każdy ślad kół, tworzących niepokojące zygzaki raz po raz.

Zaniechaną niebawem z powodu ciemności inspekcję, prowadzono o świetle dalej. Nadaremnie jednak!

Wieśniak z Montenac dopiero naprowadził powiadomione władze na trop: świeżym jeszcze śladem kół do skarpy o połamanych gałęziach i głębokiego na sześćdziesiąt metrów wąwozu.

Tam, rzeczywiście, znaleziono wśród szczątków auta, zwłoki Marceliny. Pan de Villeneuve całował oczy ukochanej żony, te piękne oczy zagasłe na wieki, kiedy nagle zalawiony wzrok jego padł na drugie ciało, ciało mężczyzny, leżące obok Marcelki, z roztrzaskaną czaszką.

Prawa natura pana de Villeneuve wzdrygnęła się na ten widok. Okropne podejrzenie jadem swym zatruto miłość jego i boleść.

Kto jest tym mężczyzną, którego śmierć dosięgła razem z jego żoną? Jaka tajemnica kryje się w tym tragicznym wypadku? Co znaczą: rewolwer! maska pomiędzy odłamkami samochodu?

— Panie de Villeneuve! — szepnęła Colette, biorąca udział w poszukiwaniach — nie wolno panu podejrzewać Marcelki! Dla dochowania panu wiary poniosła śmierć. Ten młody człowiek, syn architekta Paluvier od pewnego czasu już narzucał się Marcelce ze swym karygodnym uczuciem i akcesorja tu obecne świadczą aż nadto jasno o nikczemnej zasadzce.

Thum. Jotsaw.



„Historyczny moment” asfaltowania ul. Piotrkowskiej.



No, wreszcie, może jednak coś z tego będzie! Może Łódź doczeka się ostatecznie chociaż jednej ulicy urządzonej po europejsku. Tyko idzie to jakoś wolno, wolno, ba, nawet bardzo wolno. Fct. A. Meyer.

TEATRALJA.

Z teatrów stołecznych. — „Józef“ — Kalkowskiej. — Wszystko dobrze, co się dobrze kończy. — Festiwal w Salzburgu.

Martwota sezonu letniego w teatrach warszawskich, przerywana jedynie niezawsze udanymi widowiskami ku czci Bogusławskiego, zaczyna ustępować nowemu życiu, intensywnemu, jak zwykle, u progu nowego okresu. Opera stołeczna, stojąca wobec niezbyt wesołych perspektyw ze względu na zamierzone cofnięcie 500.000 subsydjum rządowego, zainaugurowała nowy rok sceniczny tradycyjną „Halką” pod dyrekcją Adama Dołżyckiego. Staramne przygotowanie reżyserskie i muzyczne oraz doborowy zespół solistów w osobach pp.: Lipkowskiej, Gruszczyńskiego, Mossoczyńskiego, Waśniewskiego i in. — wycisnęły na widowisku premierowym piętno uroczyste, świadcząc o należnym ze strony dyrekcji i artystów pietyzmie dla arcydzieła Moniuszki. Pięknym urozmaiceniem stały się tym razem tańce, opracowane w sposób nowoczesny i pomysłowy przez p. Parnella.

Co się tyczy repertuaru opery warszawskiej w sezonie bieżącym, przedstawia się on w zakresie nowości bardzo obficie i interesująco. Z utworów polskich dyr. Stermicz projektuje wystawić: „Ijolę” — Ryty, „Borutę” — Maliszewskiego, „Djabełski Młyn” — Różyckiego, „Króla i kachanka” — Wieniawskiego i in.; z utworów kompozytorów obcych — „Jenutę” — Janaczka, „Ariadnę” — Straussa, „Peleasa i Melisandę” — Debussy’ego, „Franceskę da Rimini” — Zandonai, ew. głośną jazz-operę Krzeka „Johnny”. W charakterze pomysłowej inowacji dyr. Stermicz ma zamiar wprowadzić w miesiącach wiosennych i letnich repertuar lżejszy, mianowicie opery komiczne i klasyczne operetki, jak np. „Wioszkę z Algieru” — Rossini’ego, „Nietoperza” i „Piękną Helenę” — Offenbacha i in.

W składzie osobowym opery stołecznej zaszły dość poważne zmiany, spowodowane ustąpieniem szeregu wybitnych solistów; ustąpił mianowicie pp.: Polińska-Lewicka, Mokrzycka, Leska, Palewicz i Freszel. Wśród nowych artystów zaangażowani zostali pp. Chołoniewski i Grudzińska.

Wspominaliśmy już o objęciu warszawskiego teatru „Ateneum” przez cenioną artystkę p. Marię Strońską i o bardzo poważnych zamierzeniach artystycznych nowej dyrekcji. Obecnie, w związku z rozpoczęciem nowego sezonu dyrekcja „Ateneum”, opublikowała w prasie komunikat, oznaczający plany i podstawy działalności tej pozytywnej placówki scenicznej. Jest to w swoim rodzaju credo nowego kierownictwa, ujmujące powagą i szlachetnością w określaniu zadań popularnej sceny, credo, zasługujące na szerokie rozpowszechnienie i — naśladowanie. W deklaracji tej m. in. czytamy: „Teatr jest jednym ze zwierciadeł życia, a zarazem jednym z drogowskazów przyszłości. Tu dają znać o sobie wszystkie radości i wszystkie cier-

pienia człowieka, tu również przemawia duch czasu, odzywa się echo przemian dziejowych, demonstruje się zło i dobro epoki... „Ateneum” stworzone jest po to, aby publiczności teatralnej dostarczać wrażeń, jakie płyną z przymierza Dobra i Piękna. Dobra w walce o postęp i Piękna nieskrępowanego szematami przeszłości... Współczesna literatura dramatyczna domaga się od teatru, by kroczył drogami dzisiejszości, daje możliwość ułożenia repertuaru, wielobarwnego i rewelacyjnego. Nowe utwory sceniczne, dzieła rzetelnego talentu, dzieła myśli głębszej, wywołują silny odźwięk w duszy widza i czynią z teatru jedno ze źródeł dobrych przeznaczeń duchowych. Nie jest prawdą, jakoby tylko rzeczy płytkie i tandetne cieszyły się powodzeniem...”

Na pierwszy ogień wystawia „Ateneum” głośną sztukę Eleonory Kalkowskiej p. t. „Józef”, opartą na autentycznym fakcie stracenia w Niemczech niewinnego robotnika — Polaka, Jakubowskiego. Sztuka



Niezapomniany „Proboszcz wśród bogaczy”, uosobienie peergimnówskiej fantazji, pełen polotu i finezji, wirtuozowski artysta Teatru Miejskiego w Łodzi p. Jerzy Woskowski, po długiej chorobie powrócił na scenę i wziął udział w inauguracji sezonu w sztuce p. n. „Wesele Figara”.

ta, nazwana przez autorkę „reportażem artystycznym”, posiada istotnie wysokie wartości artystyczne i społeczne. Najlepszym tego dowodem są ogromne jej sukcesy w Berlinie oraz gorąco pochwalne głosy prasy niemieckiej, niezbyt życzliwie usposobionej z reguły do polskiego, co ma związek jakikolwiek z polskością. Zwłaszcza, gdy w tym wypadku autorka „Józefa” ośmiesza i potępia wprost bezlitośnie „sprawiedliwość” niemiecką, posyłając — dla nacjonalistycznych urojeń — na śmierć niewinnego człowieka. Psychologiczna prawda dramatu Kalkowskiej i jego humanitarna tendencja czynią dzięki tematowi

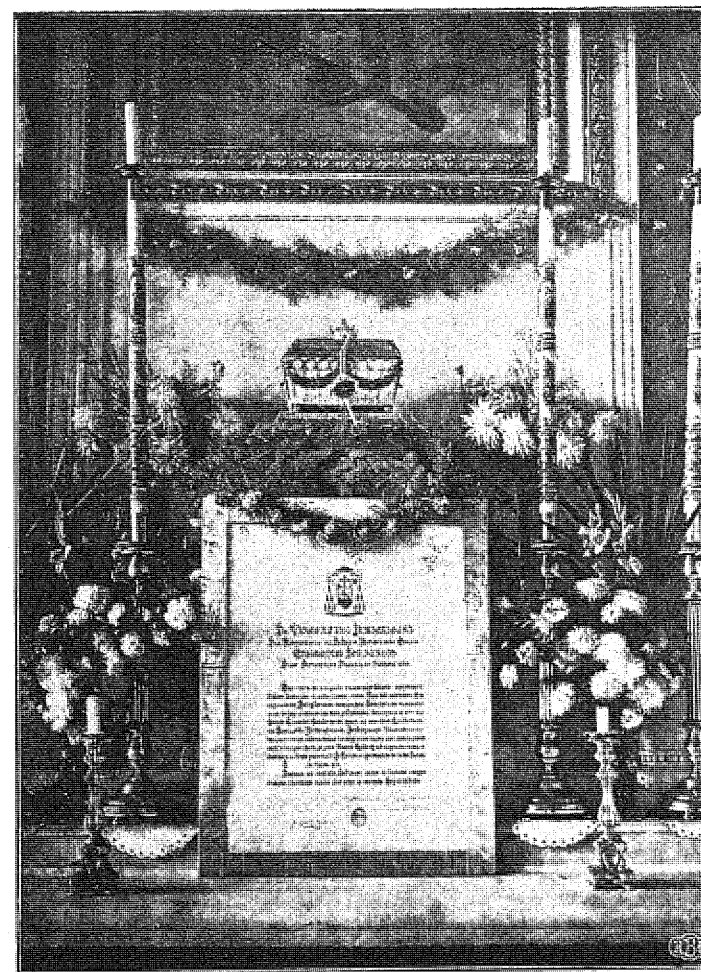
sztuki głębokie wrażenie, dając przytem satysfakcję obrażonemu zmysłowi moralnemu widza, który wespół z autorką wzrusza się i współczuje niedoli „Józefa”.

Sztuka Kalkowskiej, pomimo gniewnych pomruków niektórych organów propagandy antypolskiej, stała się jedną z najgłośniejszych sensacji berlińskiego sezonu. Z satysfakcją przypominamy, że „Józefa” zapowiedziała m. in. dyrekcja Teatru Miejskiego w Łodzi, będziemy więc mieli jeszcze okazję do obszernego omówienia tej naprawdę nieprzeciętnej sztuki.

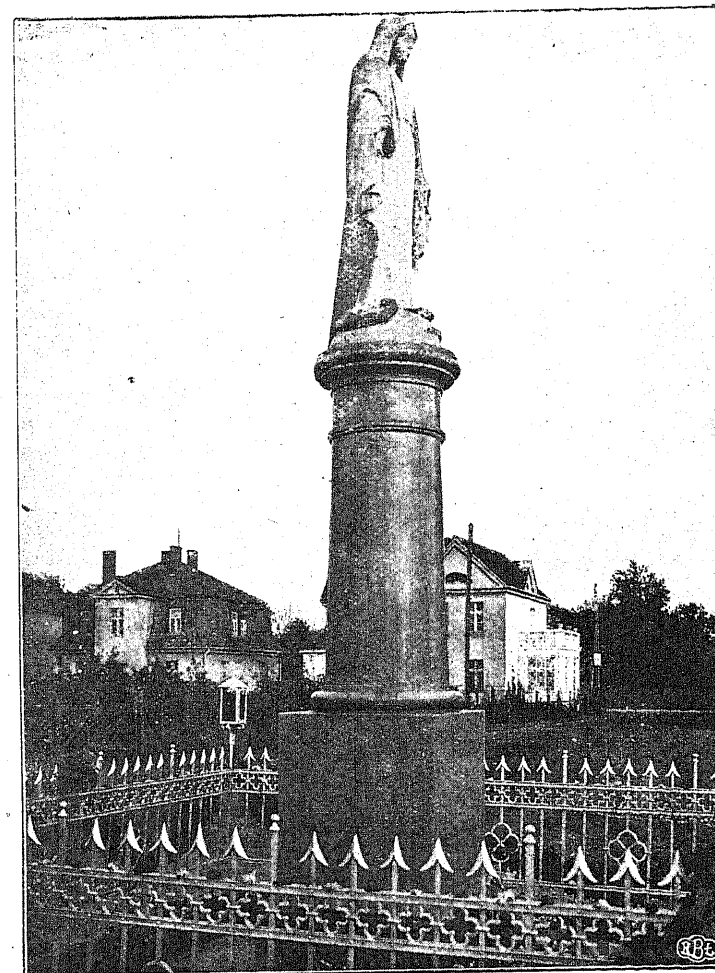
Wbrew niepomysłnym informacjom, płynącym z Wilna, na temat nieporozumień pomiędzy nowym dyrektorem teatru miejskiego, p. Zelwerowiczem, a p. Rychłowskim, dotychczasowym kierownikiem komedjowej sceny w sali „Lutni”, — sprawa równorzędnego istnienia obydwu teatrów ułożyła się ostatecznie w sposób, nie pozostawiający nic do życzenia. Oto — po niezbyt przyjaznych wzajemnie preludjach — doszła do skutku poprostu fuzja dwóch teatrów wileńskich, które pracować będą pod wspólną dyrekcją pp. Zelwerowicza i Rychłowskiego, korzystając, zarówno jeden jak drugi z pomocy zarządu miejskiego. W ten sposób i „wilk będzie syty” i „owca cała”, a Wilnianie napewno szczerze ucieszeni. Teatr na Pohulance rozpoczyna sezon wystawieniem „Dziadów” — Mickiewicza, teatr w sali „Lutni” — „Wielkiego człowieka do małych interesów” — Fredry. Obie te sztuki przygotowuje Al. Zelwerowicz.

Zwyczajem dorocznym odbył się w ub. miesiącu wielki festiwal teatralny w Salzburgu. Inicjatorem tych widowisk, odgrywanych częściowo na wspaniałym placu katedralnym jest, jak wiadomo, Max Reinhardt. Tegoroczny festiwal miał charakter głównie muzyczny, a zgromadził równie liczną publiczność ze wszystkich stron świata, jak poprzednie. Wystawiono opetę Mozarta — „Don Juana”, Beethovena — „Fidelia” oraz „Upiory” — Ibsena z Moissim w rolach głównych. Poza tem w czasie festiwalu zorganizowano kilka koncertów, z których jeden na wspomnianym placu przed placem arcybiskupim. Poziom artystyczny tych wszystkich widowisk i koncertów był oczywiście bardzo wysoki; udział w nim brali najwybitniejsi reżyserzy, aktorzy i muzycy niemieccy. Mimo to rozlegały się liczne głosy, nawołujące do ożywienia i urozmaicenia repertuarów festiwalowych, które, jak dotychczas, pozostają z roku na rok prawie bez zmiany, wywołując w stałych przeważnie uczestnikach tych uroczystości wrażenie monotonii. Niewątpliwie głosy te będą wzięte pod uwagę przez organizatorów przyszłego festiwalu salzburskiego w r. 1930.

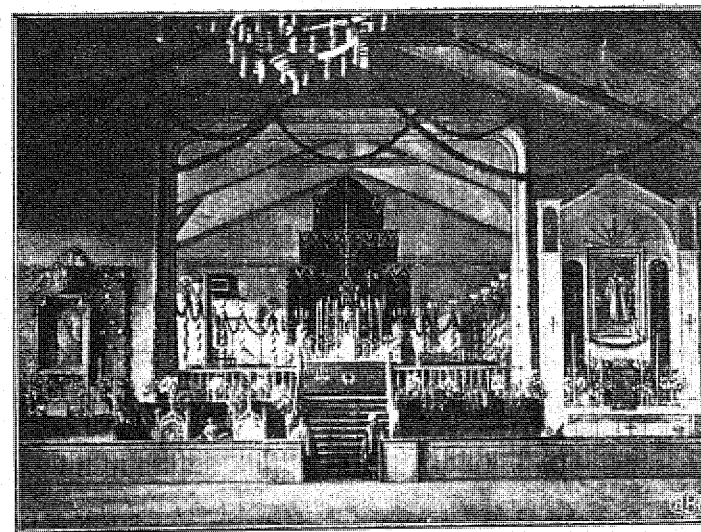
Delta.



Echa sprowadzenia z Wilna do Łodzi relikwii św. Kazimierza. Na zdjęciu ołtarz św. Kazimierza z relikwiarzem i dokumentem w kościele na Widzewie.



W ubiegłym tygodniu odbyło się uroczyste poświęcenie figury Matki Boskiej Zwycięskiej, postawionej na terenie kolonii urzędników skarbowych w Łodzi.



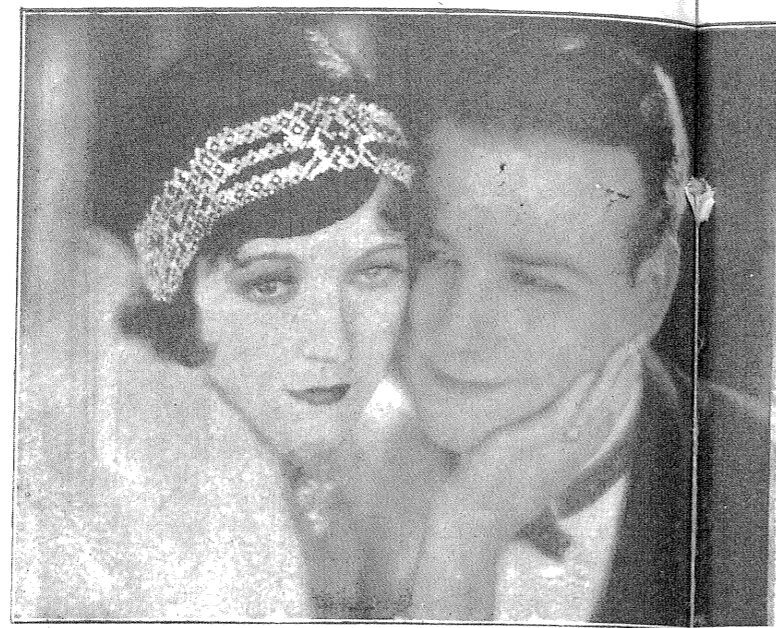
Główny ołtarz w kościele św. Kazimierza na Widzewie. Na prawo ołtarz św. Kazimierza z relikwiarzem.



Wnętrze najstarszego w Łodzi kościoła św. Józefa z rzutem oka na główny ołtarz. Na lewo kazalnica. F. v. A. Meyer.



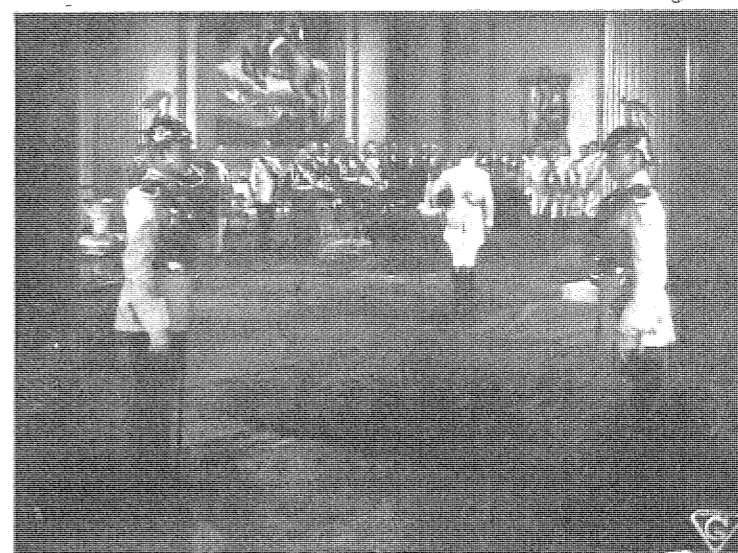
Brygida Holm i Alfred Abel, którzy odnieśli wielki sukces artystyczny w filmie „Pieniądz”.



Mary Prevost i Victor Varconyi w komedji „Tylko dla kobiet”.



Fragment filmu „Przedziwne kłamstwo Niny Pietrowy”.



Scena z obrazu „Adjutant Cara”.



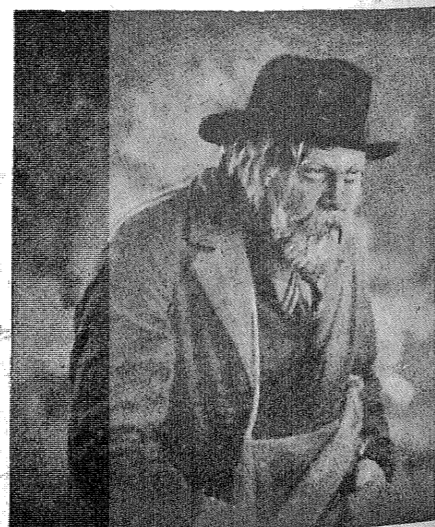
Sandra Miłowanoff, bohaterka filmu „Sprzeda na młodość” według Anatola France'a.



Ulubiona artystka komedjowa Laura La Plante.



Zbiorowa scena końcowa z obrazu „Intrygant”. Dworzanie nad ciałem uduszonego cara Pawła I-go.



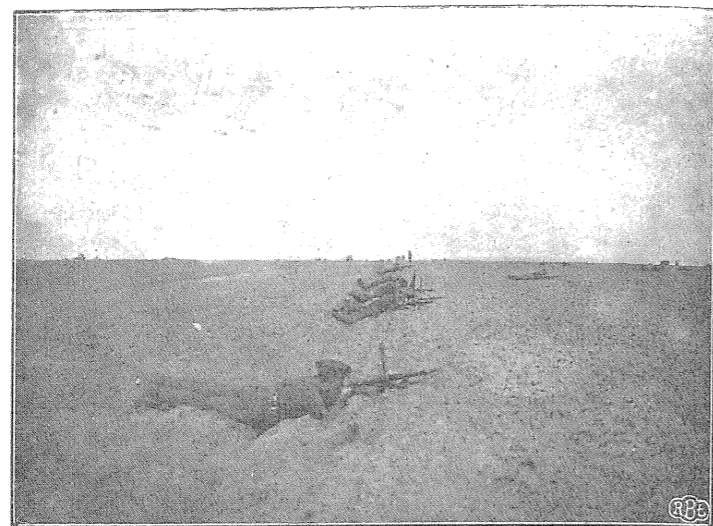
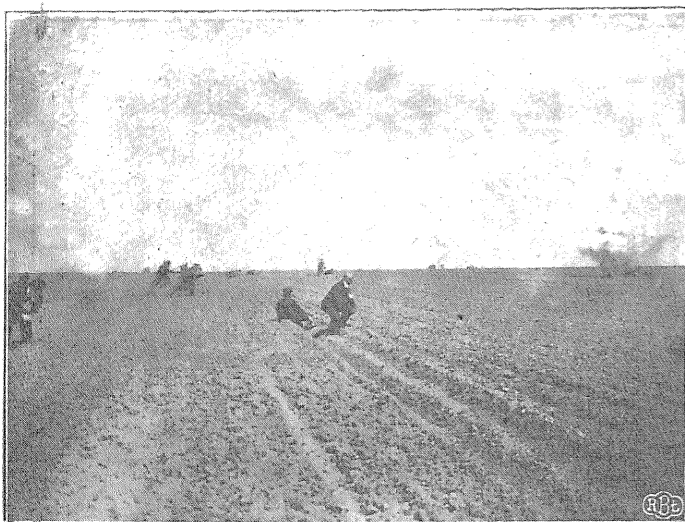
Emil Jannings.



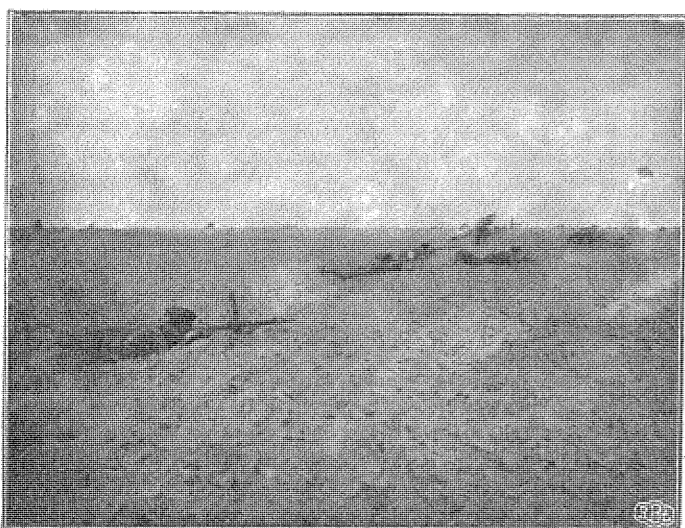
Luiza Brooks jako „Lulu”.



Jeden z najznakomitszych artystów filmowych, Edmund Love jako „Kapłan ubogich” w najnowszym filmie wytwórni „Fox-film”.



W ubiegłym tygodniu zakończony został uroczyste 3-tygodniowy kurs wychowania fizycznego i przysposobienia woj- skowego dla przedstawicieli wiosek i gmin powiatu łódzkiego, zorganizowany przy pomocy Okręgowego Urzędu W.F. w Łodzi. Na zdjęciu od strony lewej grupa uczestników kursu ze starostą łódzkim p. Rzewskim i naszym sprawozdawcą sportowym na czele, na prawo zaś kursисти w tyraljerze.



Moment z ćwiczebnego ataku bojowego kursistów W. F. i P. W. powiatu łódzkiego. Grupa uczestników kursu.



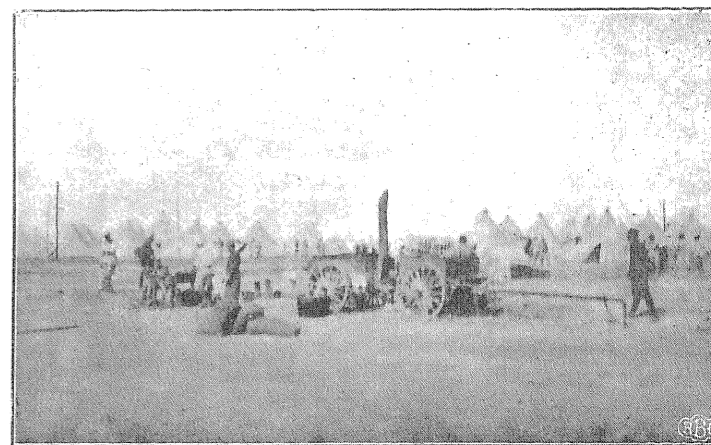
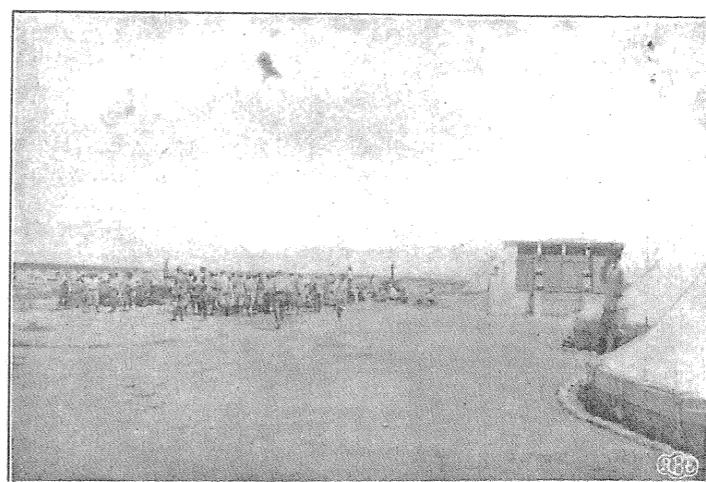
Derby łódzkie. Spotkanie L. K. S. --Turyści zakończone wy-
nikiem 2:0. Fot. A. Meyer.



Z falami w zawody. Klasyczny moment w pływaniu.



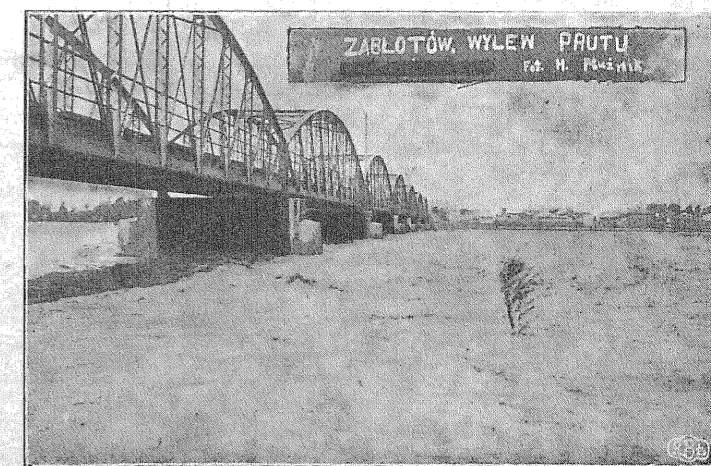
Polacy pod namiotami legionu cudzoziemskiego w Algierze. Na zdjęciach powyższych od strony lewej czterech Polaków pełniących ciężką służbę żołnierską w szeregach francuskiej legii cudzoziemskiej w Algierze. Jeden z nich opuszcza szeregi i wraca do domu rodzinnego. Na prawo kooperatywa 4-go pułku legii w Bossuet w Algierze.



Na bezkresnym pustkowiu, na gorących i sypkich piaskach Algieru legia cudzoziemska odbywa manewry. Na zdjęciu od strony lewej widzimy żołnierzy, w głębi rozbite namioty, na prawo zaś kuchnia połowa 3-go pułku legii w Marokko.



Ostatnia kośba trawy na skwerach i trawnikach miejskich. Robotnicy sezonowi zajęci kośbą. Fot. A. Meyer.



Burzliwa i wartko tocząca swe fale rzeka Prut w Małopolsce Wschodniej rokrocznie wylewa szerząc spustoszenie na polach uprawnych Pokucia. Powyżej widzimy fragment z ostatniego wylewu rzeki pod miasteczkiem Zabłotów. Fot. H. Płużnik.

ODWET.

Stracona lampa elektryczna nie zgasła. Leży na dywanie, między przewróconym krzesłem, a ciężką kanapą, ruszoną z miejsca. Szeroki szkarłatny abażur ochronił żarówkę i elegancki postument wygląda, jak gdyby skapany w kałuży krwi.

W purpurowym świetle, ścielącym się na posadzce, Marceli widzi zastygłe w przeżeniu oblicze swej ofiary.

Z okrutnym grymasem w podniesionych wargach zbrodniarz pochyla się nad zmarzniętą twarzą, wyglądającą w czerwonym świetle jak diabelska wizja upiorna.

Skażone rysy wyrażają okropną trwoję i cierpienie; pod brodą na woskowej szyi widnieje roz warta rana, olekająca ostatnimi krwawymi łzami. Podobna do polipa, wydłużającego zwolna swe macki, ciemna plama, brukając dywan, rozlewa się wąskimi strugami. Marceli patrzy na swój nóż; stałowa jego okładzina czerwieni się od krwi. Z dziką rozkoszą morderca wyciera swą broń o ubranie zabitego i błyszczącym, nieruchomym wzrokiem wpatruje się w rozciągnięte u nóg jego zwłoki. Czy morduje dla ograbienia, czy — głównie — dla dzikiej radości na widok życia, zamierającego pod jego ręką?... Myśli, zamykając nóż. Jedno jest pewne, że jęk bólu lub rzeźnięcie agonii upaja go do utraty przytomności niemal. Nigdy jeszcze nie usiłował uniknąć morderstwa, przeciwnie!

Dziś wieczorem naprzykład nic go nie zmuszało do zabójstwa. Włamawszy się do willi, którą zamierzał ograbić, szybko znalazł małą kasę ogniotrwałą, ukrytą w kącie jednego z pokoi. Manewrując zrzęcznie drobnymi narzędziami, otworzył ją z łatwością i, wypchawszy kieszenie, mógł wymknąć się natychmiast z lupem, gdyby nie zły duch, który w nim siedzi. Macając gorączkowo rękojeść swego sztyletu, z kłiwym smakiem krwi w ustach, wszedł na piętro i minawszy szereg pokoi, znalazł się za plecami pochylonego nad biurkiem mężczyzny. Skupiony, z drgającymi nozdrzami, długo stał nieruchomy, pochłaniając oczami człowieka, któremu miał za chwilę odebrać życie. Poczem skok zwierzęcy, krótka walka, błyskawiczny ruch prawej dłoni, przedłużonej błyszczącym ostrzem i ciężki upadek ciała.

Oddychając krótko, Marceli odrywa się wreszcie od swych dzikich myśli. W chwili, kiedy zamierza odejść, dostaje silny cios w głowę. Z uczuciem zapadania się w ciemność, przerywaną oślepiającymi błyskawicami runął na ziemię obok swej ofiary.

Odzyskawszy przytomność, zaczyna zęby, ażeby powstrzymać jęk. Ma wrażenie, jak gdyby jego obolała głowa była w żelaznej obręczy. Otwiera oczy: pokój jest w porządku. Mężczyzna, zwrócony doń plecami, kłęczy, nieruchomy, jak posąg. Czoło jego oparte jest o ramię umarłego, wyciągnięte na kanapie.

Marceli, chcąc wykorzystać chwilę, robi ruch i, znowu tłumi okrzyk, widząc, że jest

mocno skrępowany i nie może się ruszyć. Z zimną krwią myśli:

— Tym razem przypadłem! Facet, który mnie związał, rozprawi się ze mną. Zdaje się, że godzina moja wybiła. Ha, trudno! Na mnie kolej teraz!...

Bez drżenia, z niezmaconym wzrokiem czeka.

Po długiej chwili, mężczyzna, czatujący z ukosa, wstawszy, zbliża się. Błada jego twarz jest kamienna, tak, że Marceli nic nie może wyczytać z twardego jego skrępyłych rysów. Chcąc za wszelką cenę przerwać ciążące mu, mimo wszystko, milczenie, morderca mówi prawie że obojętnym głosem:

— Zdaje się, że nie pozostaje już panu nic innego, jak wydać paczkę.

Krótką, telefoniczną rozmową z policją, a kochani żandarmi przybędą i zabiorą mnie zakrytym powozem do miutkiego mieszkanka...

— Nie — przerwał mężczyzna bezbarwnym tonem — zdecydowałem inaczej i wieszę sobie, patrząc na twoje zachowanie. Gilotyna? Cóż to jest? Mniej niż nic. Znikoma chwila trwogi, coś w rodzaju aureoli dla takiej krwiożerczej bestji, jak ty, Drwisz sobie z niej, a kto wie, dumny może jesteś z takiego końca. Nie, nie wydam cię policji.

— Doskonale — mruknął Marceli obojętnie — proszę rozwiązać mnie wobec tego. Wolę odejść natychmiast.

Wzrok, którym go mierzą, jest tak pełen groźby, że bandyta milknie, zdławiony głuchym niepokojem. Dzika jego natura buntuje się jednak i mówi dalej wyzywająco:

— Proszę tylko nie próbować przestraszyć mnie. Szkoda czasu. Cokolwiek pan zrobisz, kpię sobie z tego. Myślisz, że boję się śmierci? Prędeż, pomścij pan tego, kogo zabiłem; zaduś mnie, zastrzel, przebij nożem — wszystko jedno, nie wyrwiesz mi z ust ani jęku, ani błagalnej prośby.

Tamten, wzruszywszy ramionami, wziął bez słowa bandytę na plecy. Zszedł z nim na parter, poczem kamiennymi krętymi schodami do głębokich suteryn. Po nieskończenie długim marszu, zrzucił swój ciężar w kącie malej, hermetycznie zamkniętej piwniczki. Elektryczna lampa u sufitu oświeca ją mętym blaskiem. Mężczyzna nachyla się nad więźniem i zdejmując zeń pęta.

— Słuchaj dobrze, nędzniku niekochemny! — zabiję cię bez litości, boś mi zamordował brata. Ale ty nie boisz się śmierci podobno. Wierzę ci. Masz zresztą słusność, śmierć jest niczem, straszne są tylko niekiedy godziny, poprzedzające ją... W tym oto kącie znajdziesz nieco żywności, napoju jednak ani kropli. Radź sobie, jak chcesz, abyś nie miał zbyt wielkiego pragnienia. Więzy twoje są rozluźnione; będziesz się mógł łatwo uwolnić od nich po moim odejściu. Ponieważ nie chcę mścić się morderstwem za morderstwo, zostawiam ci nabitą rewolwer, ażebyś mógł bronić się. Nie czatuj jednak napróżno przy tych drzwiach, które zaryglują za sobą, nie

tędy bowiem przyjdę. Jest drugie wyjście; daremnie byś szukał go wszakże. Czuwaj więc i broń swej skóry.

Powiedziawszy to, odwraca się i wychodzi. Głuche zatrzaśnięcie drzwi, zgrzyt zamka i... cisza.

Kilkoma silnymi ruchami rąk Marceli zrzuca z siebie powrozy i staje na nogi w groźnej postawie, z rewolwerem w garści.

— Osłe — śmieje się szyderczo — A toś mi dogodził! Chodźże, chodź! Czekam cię!... Kiedy wpakuję ci kulę w brzuch twoje osławione wyjście wyprowadzi mnie na wolność!

Nagle śmiech zamiera mu w gardle: jak gdyby niewidzialną ręką zgaszona lampka przestaje świecić i ciemności ogarniają bandytę.

Marceli wlokąc się po macaku, znajduje nieco żywności. Silne pragnienie pali go i gorączką pulsują mu arterje. Ile już czasu czuwa w tej zimnej piwnicy, jak grób milczącej! Ma wrażenie, jak gdyby od wielu dni tkwił w tych ciemnościach, smołą lgnących mu do ciała. Trzykrotnie już zda wało mu się, że ktoś jest przy nim; to powstać upiorna przed rozszerzonymi jego źrenicami stawała się ciałem. Trzykrotnie już krótki błysk rewolweru, z którym nie rozstaje się, rozdarł ciemności. Marceli czuje śmiertelną trwoję, czając się tuż przy nim. Cierpliwie czeka, aż wybije godzina. Od czasu do czasu wkłada się podstępnie do jego duszy. Dygocąc pod jej lodowatym tchnieniem, Marceli strząsa ją z siebie gwałtownym ruchem.

Jest to walka nieustająca, nieubłagana i bandyta z czołem wilgotnym od potu, z sercem bijącym, wie dobrze, że ona, trwoja, zwycięży.

Godziny za godzinami mijają. Marceli leży na ziemi, dysząc ciężko. W ataku szału, rzucił się był, wyjąc, przed chwilą na mur piwniczny; wyczuwszy drzwi pod rękami, walił w nie ze wszystkich sił, zdzierając sobie paznokcie o ciężkie drzwi dębowe. Wyczerpany, walczy teraz z ogarniającym go snem. Kilkrotnie już uległ był znużeniu i budził się, charcząc pod okropnym wrażeniem, że stalowe ostrze noża przecina mu szyję, napełniając krwią usta. Dwa razy jeszcze strzelił, myśląc, że ktoś nachyla się, trzymając broń nad nim.

— Jedna kula pozostaje mi tylko! — szepcze ochrypłym głosem!

Lampa zapala się, drzwi odmykają... Mężczyzna wchodzi i pochyla się nad Marcelim, leżącym na ziemi z przebitą głową. Bładością śmierci pokryta twarz trupa ma wyraz bezmiernej trwogi; włosy zlepione na czole lodowatym potem. Oczy, oczy szczególnie są przerażająco straszne: marnie rozszerzone mówią o całej groźbie ostatnich chwil.

— Kara odwetu! — szepcze mężczyzna przez zaciśnięte zęby.

Poczem wychodzi, zamykając drzwi grobowca.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIENIEMIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Roł VI

Niedziela, dnia 29 września 1929 r.

Nr. 39.

„Tydzień Strażaka” w Łodzi”.



W dniu 22 b. m. rozpoczął się w Łodzi „Tydzień Strażaka” kwesta publiczną, z której dochód przeznaczono na rzecz skromnych funduszów, nie wystarczających, jak dotąd, na utrzymanie tej humanitarnej placówki. Na zdjęciu powyższem widzimy strażaków-kwestarzy zawsze rzetelnie spełniających swe obowiązki. Fot. A. Meyer.